

SYLWESTER – CZĘŚĆ DRUGA

KONWERSACJA

- Egzystuję! – burknąłem zirytowany, że ktoś narusza moją prywatną przestrzeń, akurat, gdy chciałem dokonać wiwisekcji na swoim umyśle i poznać przyczyny irracjonalnych wybryków, jakie splodziłem w ostatnich godzinach. I nie tylko w ostatnich. W ogóle.

Zwierzęta znaczą swój rejon moczem, różnymi wydzielinami w które je wyposażyla natura, głównie po to, aby zwiększyć szansę przeżycia. Człowiek, swoje rewiry zaznacza pieniędzmi, obłudą, zazdrością, chciwością i innymi wrednymi atrybutami, których zwierzyna nie posiada, przede wszystkim po to, by niszczyć swoich pobratymców. To sprawia mu czystą, nieskalaną sumieniem frajdę.

Granice wydzielonych obszarów jednego i drugiego gatunku, posiadają wspólną cechę.

Jednakowo śmierdzą.

Takoż i ja, jako przedstawiciel skazanego na kreowanie się we własnych wyobrażeniach gatunku, oparami alkoholu uwalniającymi się z mojego ciała, wyznaczyłem swoją strefę. Około półtora metra. Przecież niewiele. A tu ktoś, od razu z butami!

- I długo ma pan zamiar tutaj, tak... egzystować? – nie poddawał się cichy, męski głos.

- Aż do śmierci! – dokumentnie się uparłem.

- Przecież jest mróz, zamarznie pan – cierpliwie martwił się prześladowca.

- No to zamarznię! – oznajmiłem z ogromną satysfakcją, że zrobię mu na złość. Przecież nie sobie! Nie miałyby to sensu.

Ciężko westchnął.

- Nie ma pan dokąd pójść? – nie rezygnował.

- Mam! Ale nie chce mi się tam iść!

- A ma pan gdzie wrócić?

Ależ uparty!

- Mam! Ale nie chce mi się tam wracać!

Cisza. Chyba wygrałem, ale na wszelki wypadek nadal nie podnoszę wzroku, żeby nie skryzlować spojrzeniem postaci, która, miałem cichą nadzieję, jest tylko wytworem mojej aktualnie mocno sponiewieranej wyobraźni.

- Kobieta?

Cholera, a jednak!

- Co, kobieta? – pytam.

- No, czy to kobieta doprowadziła pana do tego rodzaju egzystencji?

- Jakiego rodzaju? – twardo trzymam się pierwszoplanowej roli głupka.

Znów westchnienie, ale cięższe od poprzedniego. I dłuższe. Coś, jakby cichutkie parsknięcie konia.

- Beznadziejnie durnego! – głos o ton wyżej i lekkie zniecierpliwienie.

A! Tu cię mam! Zaraz wyprowadzę cię z równowagi i dasz mi spokój!

- Wie pan... – i już szykuję się do rozprawy na temat sensu istnienia lub wręcz przeciwnie. – O egzystencji, możemy tutaj, zaraz...

-Wiem, wiem! Zamknij się pan! Możesz pan, przez chwilę, być człowiekiem?

- Mogę – odpowiadam nonszalancko, jednocześnie obserwując jak mój cynizm, wartką strugą cieknie mi z nosa między stopy. Szybko zagarniam śnieg butami, żeby go ukryć.

- I przez chwilę nie będziesz pan się mądrzył?

- A ja się mądrzę? – Psiakrew! Myślałem, że dobrze go zakopałem.

Milczenie. Długie.

Ale nie odszedł, bo wyraźnie czuję wytyczoną granicę jego prywatnego obszaru, która napiera na moją

strefę. Jest tylko odrobinę mniej nasycona alkoholem od mojej. Wobec tego śmiało podnoszę głowę, żeby w końcu zobaczyć komu to chciało się, zacumować w moim porcie.

Przedemną stoi kupka nieszczęścia. A właściwie kupa, bo stojący naprzeciw mężczyzna jest wyższy ode mnie o dobre kilkanaście centymetrów. Szybko lustrując ową postać, zauważam wciśniętą na głowę wełnianą czapkę, ogromny szal, który owija jego szyję niczym boa hinduską bajaderę, grubą, niemożliwie poplamioną kurtkę, spodnie równie ufajdane z tym, że plamy tworzą inny wzór niż na kurtce i buciory, które mogły go przynieść z bardzo daleka. Na pewno nie mniej niż siedem mil.

Popchnięty stereotypami wydaję natychmiastowy osąd:

„Menel. Bezdomny menel. Bezdomny menel i alkoholik.”

Zdiagnozowanie choroby alkoholowej nie jest wcale łatwe. Lukę, w opisywanych zwyczajowo objawach, znalazł mój przyjaciel z dawnych lat. Kiedy pokłócił się z życiem i po tej awanturze nastąpiła jednostronna obraza, jego, bo życie nie zauważyło, że się ciska, w bolesnym proteście zamienił zegar i pojęcie czasu na alkohol. Zamiast godzinami żył wypitymi butelkami, zamiast minutami kieliszkami, a dni odliczał ilością przeżytych kaców. Jego chęć pokonania upływającego czasu doprowadziła do tego, że już nikt nie siadał z nim do stołu. Ilość pochłanianych przez niego godzin zamieniała się w zalane powodziami doliny, których mimo szczyrych chęci jego znajomych i przyjaciół, nie dało się przepłynąć.

Zaczął więc pić ze swoim psem. Nalewał jemu, sobie i zawsze przegrywał. Zawsze padał pierwszy, nie przyjmując do wiadomości, że jego zwierzę obrało inną drogę. Drogę abstynencji. Chociaż może nie całkowitej, bo twierdził, że zdarzało mu się, gdy wstrząsały nim kacowe konwulsje, pełznąć na czworakach do miski towarzysza, nalewać piwa i razem z nim je chleptać.

Kiedy spostrzegłem, że zbyt długo go nie widziałem, postanowiłem wybrać się z wizytą, by sprawdzić jak daleko posunął się w tej godnej Don Kichota walce z czasem. Drzwi do jego mieszkania były uchylone, pies nie skoczył do przywitania, ale to mnie nie zdziwiło, bo dowiedziałem się wcześniej, że zlitowała się nad nim była małżonka przyjaciela i zabrała go do siebie w obawie, żeby nie zrobił z niego szeregowego żołnierza w swojej jednostce specjalnej do zadań polegających na niszczeniu zegarów.

Zastałem mojego przyjaciela siedzącego przy stole pochylonego, z głową kiwającą się w jakimś dziwnym tańcu, a co za tym idzie jego nos kreślił w powietrzu zagmatwane esy floresy, że gdyby przykleić do niego pędzel namalowałby na blacie stołu dzieło godne mistrza abstrakcji. Pośrodku tego niewidocznego dla oka malowidła stała dziwnie omszała szklanka. Po wnikliwej analizie z przerażeniem stwierdziłem, że to pozostałość po wypitym spirytusie salicylowym. Przygotowany na kłamstwa w rodzaju - „musiałem się zdezynfekować”, nie wytrzymałem i wrzasnąłem:

- K...wa! Człowieku! Jesteś chory! Masz natychmiast się leczyć! Jesteś alkoholikiem!

A on... a on spojrzał na mnie ze spokojem tak chłodnym, że jego minusowa temperatura natychmiast ostudziłaby entuzjazm najbardziej rozpalonych i rozhisteryzowanych fanek zespołów death metalowych i rzekł:

- Nieprawda! Nie jestem alkoholikiem! Alkoholik MUSI pić codziennie! A ja nie! Ja CHCĘ!

Mimo pomocy wszystkich przyjaciół, on wypełnił ową lukę w opisywanych zwyczajowo objawach alkoholizmu. Sobą. Nie ma już tej luki i jego też.

Roztkliwiony tym wspomnieniem, zaczynam czuć nieuzasadnioną sympatię do nieszczęśnika, który nieopatrznie zadumał się nad moim losem.

- Słucham pana – mówię bez cienia złośliwości i choć ciężko przechodzi mi to przez gardło, dodaję – jestem teraz przez chwilę człowiekiem i słucham!

Kłęby pary wydobywające się z jego ust, doskonale maskują wyraz jego twarzy jak i zawartość jamy ustnej. Lub brak tej zawartości.

- Niech pan sobie nie pochlebia – mówi cichym głosem. – To nie jest tak, że nie będę mógł żyć po tym jak pan zamarznie na tej ławce. Pański wybór. Ale kłopotem są pańskie, w razie czego, zwłoki. Ja tu

mieszkam. A przez pana trupa przyjedzie tu policja i się zacznie. Przegonią mnie.

- Pan tu mieszka? Na tej ławce? – Wielkość moich oczu, osiągnięta w zdumieniu, zawstydzona księżyc w pełni.

- No, nie do końca na ławce, w zimie? – pobłażliwie spogląda na mnie. – Ale tam!

I wskazuje na oddalony o kilka metrów włącz do kanału.

- W kanale?! – Księżyc spadł z hukiem.

- Ano!

- Ale przecież tam jest zimno i mokro! – nie dowierzam.

- Nieee... to kanał ciepłowniczy, tam jest sucho i ciepło. – Zaczyna przytupywać, jakby chciał pokazać różnicę temperatur.

Przyswajam nieznana mi wiedzę.

- Więc, co pan proponuje? – jestem zagubiony, jak as treflowy w rękawie początkującego szulera.

- Może chciałby pan, skoro nie chce pan nigdzie iść, spędzić ten sylwestrowy wieczór ze mną i moją Towarzystką Życia. Serdecznie zapraszamy! – nie dość, że tupie to obija się jeszcze dłońmi.

Towarzystka Życia! Ja to przecież znam!

Gdzie?! – pytam. – W kanale?!

- Nie – cichutko odpowiada. – Nie w kanale. To jest nasz dom. Zapraszam pana do domu.

Nie odzywam się już ani jednym słowem. Cynizm zamarzł pod moimi stopami i nic już nie cieknie z nosa. Księżyc popełnił samobójstwo i na jego truchle wykuwam nagrobek z własnego wstydu.

Wstaję i mówię:

- Dziękuję panu za zaproszenie. Chętnie skorzystam jeżeli pańska Towarzystka Życia nie będzie miała nic przeciwko. – Jakieś cholerne piórko, nie wiadomo skąd się wzięło, drapie mnie w gardło.

- Nie będzie miała. To dobra kobieta. – Chyba jest zadowolony z rozwiązanego problemu.

„Dobra kobieta?” – zastanawiam się nad zestawieniem znaczeń i natychmiast kopię skutą lodem cynizm głęboko pod ławkę.

To chodźmy! – woła zadowolony mój nowy anioł stróż i po kilku krokach otwiera włącz kanału. – Wchodzi pan?

Z zaciśniętym gardłem mówię:

- Wchodzę... - odchrząkam. – Oczywiście, że wchodzę!

Księżyc wyprowadził się ze swojego, wykutego w moim wstydzie grobu i zaczął przemierzać odległe galaktyki.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

stygma, dodano 19.07.2011 09:24

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.